

Z PIEŚNI LUDOWYCH

(«DAJNOS»)

Leciał tędy kruk czarny,  
W dziobie białą niósł rękę,  
A na ręku pierścionek.  
A ja wołam do ptaka:  
«O ty, czarny mój kuku,  
Skąd-to białą masz rękę,  
Skąd ten złoty pierścionek?»  
— Byłem w polu wojennem,  
Gdzie widziałem bój srogi,

Gdzie płot grodzą z palaszów,  
Groby kopią bagnetem,  
A krew płynie strumieniem.  
Wielu synów tam leży,  
Wielu ojców tam płacze...  
«Biada! mój to pierścionek!  
Już mój miły nie wróci!  
Płyńcie teraz, łzy moje».

Wiatry z wieczora łagodnie wieją,  
Lilje zwolna się chwieją,  
A tam od boru córkę kochaną  
Wiozą przez ciemne dąbrowy.  
Dalej, synowie, dalej, bratowie,  
W pogoni za siostrą porwaną!  
Tętnią podkowy, siostrę dognali,  
Dognali w zielonym lesie,  
A pobrzęk stali, tętent podkowy  
Echo zbudzone precz niesie.  
O, powróc z nami! niech się ukoi  
Matka, co płacze cię w chatce.

O, bracia moi! nie wrócę z wami,  
Lecz wianek odesłę matce.  
Siostro zwiedziona, o, czarnobrewa!  
Gdzie twoje będzie posłanie?  
Oto zielona lipa powiewa,  
To nocne moje postanie.  
Listki zwiędnięte, wiatrem strącone  
Będą poduszką pod głowę.  
Mnie się lipowe gałązki skłonią,  
To matki ręce nie będą;  
Jej kwiaty z wonią spadną na głowę,  
To matki słowa nie będą.

Siałam ja rutę w ogródku,  
Au kuku!  
I wianeczek wiałam w smutku;  
Kwitną jagódki.  
Na moście powstała burza,  
Au kuku!  
w wodzie wianek się nurza;  
Kwitną jagódki.  
Wtedy trzech bracia bieźeli,  
Au kuku!  
Czyście wianka nie widzieli?  
Kwitną jagódki.

Jeden mówił: nie widziałem,  
Au kuku!  
Drugi mówił: nie zważałem,  
Jagódki kwitną.  
Dam jednemu pas jedwabny,  
Au kuku!  
Dam drugiemu wstążkę złotą,  
Jagódki kwitną.  
A trzeciemu to ja sama,  
Au kuku!  
Podam z palca pierścień złoty,  
Jagódki kwitną!

*Tłum. Kazimierz Brodziński.*

Posłali mnie do lasu,  
Do lasu za jagodami,  
Do lasu za czernicami.

Jagód ja nie zbierałam,  
Czernic ja nie szukałam,  
Weszłam ja na pagórek,

Na matczyną mogiłę,  
Gorzkimi łzy płakałam  
Za matką ukochaną.  
«Kto tam w górce po mnie płacze?  
Kto wszedł na moją mogiłę?»  
— Ja to, ja, matko kochana,  
Ja, opuszczona sierota.  
Kto mi włos mój rozczesze?

Kto mi twarz obmyje?  
Kto słodkie powie słowo?  
«Idź do domu, o córko!  
Tam tobie matka druga  
Rozczesze włos na głowie  
I twarz ci obmyje.  
Tam ci miły młodzieniec  
Słodkie powie słowa».

Nad morzem, nad przystanią  
Biała góra się wznosi.  
Na górze, na pagórku  
Stoi dąb zielony.  
Popłynąłem tam, biedny,  
Objąłem go rękoma.  
O, dębie mój kochany,  
Czy mi się w ojca nie zmienisz?  
Czy się zielone gałęzie  
W białe ręce nie zmieniają?

A zielone twe liście  
Na przyjazne słowa?  
A odszedłem stąd biedny,  
Płacząc łzy gorzkimi,  
Bo się dąb nie zmienił  
W ojca kochanego!  
Ni zielone gałęzie  
W białe ręce jego,  
Ni zielone liście  
Na przyjazne słowa.

Śpiesz, łódko, śpiesz  
Po szybkim Niemenku!  
Śpiesz do wzgórza tam,  
Gdzie zielony stoi dąb.  
Tam śpi w zielonym grobie  
Ojciec mój kochany,  
Poskarżę się ojcu memu,  
Jak mnie ojczym męczy.  
Dręczy mnie, biednego,  
I wypędza z domu.  
Śpiesz, łódko, śpiesz,  
Po szybkim Niemenku!  
Przystań w podwórku zielonem.  
W zielonem podwórku  
Dziewcząt ładnych troje:  
Jedna krosna rozstawiła,  
Druga cienką nić przędzie,  
Trzecia szyje jedwabiem.  
Ta, co jedwabiem szyje,  
Moją lubą będzie.  
A jak mi jej nie dadzą,  
Umrę z żalu pewnie.

A gdzież mnie pochowacie,  
Gdy mnie żal umorzy?  
Tu w liljowym ogródku  
Pod różanym krzakiem.  
Przyjdą młode dziewczęta  
Co niedziela rano  
Zrywać sobie kwiatki.  
Wijcie wianki, dziewczęta,  
Ile sobie chcecie.  
Tylko ot z tego krzaczka  
Róży nie zrywajcie.  
Przyjdzie młoda siostra  
W niedzielny poranek,  
Ona urwie pączek  
Z różanego krzaku.  
A! pięknie pachnie kwiatek,  
Miłej róży pączek.  
Matka, płacząc, jej powie:  
Nie kwiatek to różany,  
Ale duch to młodzieńca,  
Który umarł z żalu.

Przyszedł meška<sup>1</sup>  
Z beczką alus<sup>2</sup>  
Wilczkowi  
Niebożęciu  
Sprawić wesele.  
Jeż jest družbą,  
Lis tam swatem,  
A zajączek

Nieboraczek  
Musi ciągnąć wóz.  
Tchórz alus gotuje,  
Wróbel miesza sól,  
A kukawka  
Nieboraczka  
Chmiel do niego nosi.  
Byk drwa rąbie,

<sup>1</sup> Niedźwiedź.

<sup>2</sup> Piwo.

Pies myje garnki,  
 A maciuś  
 Niebożalko  
 Mięso w kupę zbiera.  
 Żóraw struny szczypał,  
 Niedźwiedź grał na dudzie.  
 A wilczek  
 Z wesołości  
 Kozę w taniec prosił:

Jeśli dobrej woli,  
 Potanęję z kumą,  
 A będziesz się spierać  
 To rozszarpię ciebie.  
 Będzie z twojej skóry  
 Kożuch dla pastuszka,  
 Który mnie się strzeże  
 Na łące,  
 Na polu.

Wróbel warzył gościom piwo,  
 Dam, dam, dali dam,  
 Wróbelek piwo.  
 Prosił wszystkie ptaki w gości,  
 Dam, dam, dali dam,  
 Wszystkie ptaki.

Wróbel wiódł w taniec sowę,  
 Dam, dam, dali dam,  
 W taniec sowę.  
 Nastąpił wróbel sowie na palec,  
 Dam, dam, dali dam,  
 Sowie na palec.

Sowa do sądu, wróbel do płotu,  
 Dam, dam, dali dam,  
 Wróbel do płotu.

*Tłum. Józef Ignacy Kraszewski.*

## CHRYSTJAN DONALITIUS

(1714—1780)

### CZTERY PORY ROKU

(Wyjątek)

#### Z «Wiosny»

Już się słoneczko na nowo podniosło i świat przebudziło,  
 I niweczy z uśmiechem, co mroźna zima stworzyła;  
 Mrozów robota porówno z lodami znikać poczęła,  
 I pieniaący się śnieg nareszcie się wniwecz obrócił;  
 Miłe i życiodajne wietrzyki lany muskają,  
 Z śmiertelnego uspienia budzą ziółka przeróżne;  
 Knieje i wszystkie zarośla zbudzone znów się podnoszą,  
 Wzgórza i płaskie doliny zimowe składają kożuchy.  
 Wszystko, co w smutnej jesieni na śmierć się, płacząc, pokładło,  
 Wszystko, co się w jeziorze, pod lodem żyjąc, trzymało  
 Albo pod pnem swym przez zimę leżało uspięne,  
 Wszystko to gromadnie wychodzi, by wiosnę powitać.

Szczury zarówno z tchórzami rzucają zimowe swe nory,  
 Kruki a z niemi i wrony, jak niemniej sroki i sowy,  
 Myszki ze swemi młodemi i kret nawet ciepło wychwala.  
 Muchy i różne owady, komary i pcheł całe chmary  
 Już nas męczą i trapią, hurmami wszędzie zebrane,  
 Równie na panów, jak na chłopów, by kąsać, chciwie wpadając.  
 Ale i pszczoł królowa czeladkę już swoją zbudziła,  
 Wszystkich do pracy wysyła i o zarobku pamięta.  
 O! te gromady ze szpar przeróżnych sobie wychodzą,  
 A furgając dokoła i brzęcząc, wesoło igrają.  
 Również pająki po kątach pracują nad swoją tkaniną,  
 Sieć ku łowom splatają, cichutko pnąc się do góry.  
 Lecz i niedźwiedź, i wilki ot podskakują radośnie  
 I, by coś sobie ułowić, cichaczem w podlesie się czają.

Ale jakże to dziwnie, wszak żadne z wielkiej czeredy,  
 Płacząc ni wyrzekając, do nas nie przyszło.  
 Nie, nie z płaczem, lecz owsem, z radością się wszyscy zebrali,  
 Ziemi bowiem mozoly już pokoićzyły się wszędzie,  
 I po wszystkich łanach wiosna na nowo zabłysła.

Bocian porówno z innemi sąsiady nadleciał wesolo  
 I na dachu, niby gospodarz, zaczął klekotać.  
 Kiedy on tak się raduje, patrz — oto już jego gosposia,  
 Ze zimowej wróciwszy gospody, przy nim się znalazła  
 I, klekocąc, czule miłego wita małżonka.  
 Ale stary swój dach zastają bardzo podarty,  
 Niemniej dom nowy, w zaprzeszłym roku zbudowan,  
 Ze wszech stron nad miarę poszarpanym znaleźli.  
 Szczyt i ściany, i bardzo wiele z żerdzi nowiutkich  
 Wiatry swemi skrzydłami precz z dachu były uniosły,  
 Drzwi i okna, i progi doreszty powypadały,  
 Zgoła całą budowlę zastali w stanie najgorszym.  
 Więc tedy oba, jak gospodarzom dobrym przystoi,  
 By sporządzić i wszystko naprawić, zabrali się żwawo.  
 Mąż na budowę co prędzej gałązki znosi naręczą,  
 A gosposia szkody starannie wszystkie naprawia.  
 Potem współ oboje, po wielkiej pracy i znoju,  
 By sobie strawy poszukać, nad stawek szybko zlatują  
 I, po kilka żab i ropuszek sobie złowiwszy,  
 Bogu z serca całego pokorne dzięki składają.  
 Ty, człowiecze niewarty, stąd naucz się przestać na swoim,  
 A nasyciwszy się smacznie, o Bogu swym nie zapomnij!  
 Wszystkie zarośla i krzewy brzmią pieśni różnych odgłosem,  
 Również pola i łąki gwar głosów ptasich napelnia.  
 Już kukułki i drozdy ochoczo współ śpiewają,  
 Swemu Stwórcy na chwałę radosne hymny zawodząc;  
 Jaskółeczki lekkimi do góry się wznoszą skrzydelki  
 I, swawoląc, nibyto kule, nad ziemią migają;  
 Potem proste swe strawy bez wszelkich zjadają przypraw  
 I, nasyciwszy ciało, bajki sobie szczebiocą.  
 Zóraw aż pod niebo błękitne dziwnie się wznosi  
 I, niby płacząc i jęcząc, krzykami powietrze napelnia.

.....  
 Tłum. Juljusz Ossowski.

## SZYMON DOWKONT

(1793—1864)

### Z DZIEŁA «ZWYCZAJE STAROŻYTNYCH LITWINÓW»

Ani klimat, ani przestronne domy nie rozpieszczały mieszkańców litewskiej ziemi, lecz, przeciwnie, orzeźwiały, krzepiły i hartowały im ducha, tak że cierpiąc biedę, Litwini nie pozostali bierni ani w domostwie, ani na roli, ani w lesie. Albowiem ani powietrze surowe, ani zwierzęta drapieżne nie odstraszały ich od zakładania siedzib w leśnych gęstwinach, ani też krwawy trud im się nie uprzykrzył. I dzisiaj jeszcze dla dodania otuchy człowiekowi zafrasowanemu powiadają: «Gdzie się podziejesz? — Żywcem do ziemi nie wleżesz, dopóki żyjesz na świecie, trzeba znosić trudy».

Wszyscy Litwini byli średniego wzrostu, nietyle rośli, ile silni mężczyźni, o krępych barkach. I dzisiaj jeszcze się mówi: «wiadomo mąż — jaki położony, taki postawiony». Jak bowiem widzieli w lesie drzewa niskie i mocne, na wichury i burze wytrzymałe, podobnie twierdzili, że i ludzie mniej rośli i drobni łatwiej mogą znosić

trudy i niepowodzenia, aniżeli słusni i tędzy. Wszyscy byli nietylko dorodni, ile urodziwi, postawy prostej i składnej, wzrostu silnego, mowy śmiałej i zwięzłej, o oczach jasnyniebieskich i białej płci, twarzy więcej podługowatej niż okrągłej z rysami bardziej wyrazistemi niż wydatnemi. Mężczyźni do czterdziestu lat się golili poło, by później gęsta broda, zwichrzona wiatrem, sterczała na szczękach; włosy ciemne, od uszu zgarnięte, kędziory, na karku zwieszzone, wiatrem targane, rozwiewały się jak końska grzywa. Na głowach przedziały włosów wyglądały jak brózy na roli, krzaczaste wąsy jak klaki sterczały z pod nosa, z których, gdy się piło lub jadło, jakby ze snopów ściekało.

Wygląd mieli odważny i ujmujący, na twarzy każdego widniała waleczność i cierpliwość, a miłość bliźniego gościła w każdym sercu. Postawa, krok śmiały i mowa wskazywały, że jest to naród wolny, a biada temu, kto niesłusznie kogokolwiek z nich ukrzywdził czynem lub słowem znieważył: ten na miejscu został ukarany, bo z drogi niegodziwcom nie ustępowali. Wszyscy znosili głód i chłód, mieli w poniewierce słotę i srogie mrozy, tak że się zwykle mówiło: «cierpliwy przecierpi». W mowie i postępowaniu przestrzegali prawdy, którą miłowali, bo, jak przysłowie ich mówi: «kłamca świat przejdzie, ale nie wróci» — albo inne: «łgarzowi nie wierzą, gdy później nawet i prawdę twierdzi».

W swoich zamiarach i uczynkach, gdy cokolwiek przedsięwzięli, nie ociągali się, nie mitrężyli, lecz spełniali i odrabiali wytrwale. To też w wykonaniu każdego czynu doznawali powodzenia, bo wszyscy pracowali dla swojej ziemi; w postępowaniu okazywali zapobiegliwość, w zamiarach wytrwałość, albowiem żaden nie chciał być posądzonym o niesumienność; co rozpoczął, to i ukończył, każdy przestawał na tem, co sam spełnił lub zapracował, cudzego nie żądał, pamiętając, że «nie wiek słońca każdy żyć będzie».

W sprawach gospodarstwa pomiędzy wszystkimi panowały zgoda i ufność, każdy wspierał bliźniego w potrzebie i ratował w upadku. Zbytków i długów nie znali, bo wszystkiego mieli poddostatkiem, i obcych wymysłów nie pożąдали. W ubraniu i jedzeniu byli umiarkowani, a wybrednego uważali za niedołągę. W cierpieniach wykazywali cierpliwość i nieugiętość, w nadziei nie gnuśniali, w ostatniej chwili nie rozpaczaży, grożącego nie obawiali się, w szczęściu nie chępiłi się. To też na wojnie waleczność, w życiu domowem uczciwość, prawość i gościnność kwitły między nimi wiekami, chociaż drzwi ich domu skrzypiały na drewnianych zawiasach. Nie pochodzenie, nie dostatek, lecz przedewszystkiem roztropność i moralność, wszystkim znane, każdego wynosiły na zwierzchnictwo, bo wszyscy byli sobie równi, a więc, kto waleczniejszy w boju, ten i starszy, kto uczciwszy i mędrszy, ten zasiadał jako sędzia.

Tłum. Juljanna Kajruksztisowa<sup>1</sup>.

ANTONI BARANOWSKI

(1835—1902)

Z POEMATU «BOREK ONIKSZTAŃSKI»

Las nietylko dźwiękami czaruje i wonią,  
 Kiedy huczy wesolo i rozgłośnie dzwoni...  
 O północy — tak cicho, że słyszysz, jak wzbiera  
 Liść młody lub pąkowie kwiatem się otwiera,  
 Jak szemrze drzew gałęzmi lasu święta mowa,  
 Jak lnią gwiazdy i spada rosa brylantowa:  
 Więc i w sercu, co ziemskie, gaśnie ci już w ciszy,  
 Duch w modlitwie ulata i spokojem dyszy;  
 A gdy jutrznia rozbrzaskiem już ranek zasili  
 I kwiat, brzemienny rosą, główkę swą pochyli,  
 Natenczas bór się budzi, co był w ciszę wklęty,

<sup>1</sup> Tegoż pióra są dalsze przekłady tekstów litewskich, o ile nie podano tłumacza.

Praca się rozpoczyna — trud dnia zbożny, święty.  
 I cóż tam tak szeleści? To liść załopotał  
 I w gniazdku obudzony ptak się zatrzepotał.  
 Co tam trzasło? Wilk może w obawie świtania,  
 Skradając się, z nocnego wraca polowania.  
 Tam znów w zębach do nory lis gąsiątko niesie,  
 I borsuk co najdalej z swej kryjówki rwie się,  
 Tam sarenka w podskokach mignęła z pagórka,  
 Tutaj z sosny na sosnę wciąż skacze wiewiórka,  
 Tam zoczysz, jak łasica i kuna śmigają,  
 Jak przeróżne zwierzątka po lesie hulają.  
 Kto tam stuka? To dzieciół kuje korę drzewa.  
 Kto się jąka? To bekas, jęcząc, się odzywa.  
 A kto syczy? Patrz! Zoczysz i gadziny skręty,  
 Tam znów szemrzą i szumią fale rzeki Świętej.  
 Kto tam gada? To gęsi gegają ochoczo,  
 To bociany w podlesiu na gnieździe klekocą;  
 Tam znów kaczki: pry, pry, pry! przyleciały z trzciny,  
 Tam dudek pyta żonkę, pyta swoje syny:  
 Co, co mamy wam przynieść? Jakie to przysmaki?  
 Co, co?... Co, co?... Czy ziarna, muchy, czy ślimaki?  
 Tam widzisz, jak kukulka spogląda, trzepocze,  
 To, kukając, zapłacze, to znów zachichocze.

Dzwoni las.. wciąż las dzwoni... Wilga głosem drżącym  
 Przedrzeźnia: «Ewo, Ewo, nie paś-że po łące!»  
 Tam nad rzeką: ri-u! ri-u! ri-u! kulik się odzywa.  
 I rozmaitych głosów sypie się ulewa,  
 Coraz to inne sprawy i inne głosiki:  
 Szczygły, gile i drozdy, pliszki i czyżyki,  
 Sójki, sroki i inne swoją pieśń śpiewają,  
 To się śmieją, to jęczą, to fraszki gadają.  
 Ale głos tam słowika — ten najwydatniejszy,  
 Silny, rzewny i tkliwy, pełny, najwdzięczniejszy —  
 Dzwoni, huczy, przelewa, co chwila się zmienia,  
 Wnika w duszę, jak dajny<sup>1</sup> litewskiej nam pienia.

ŽEMAITĖ (JULJA ŻYMONTOWA)  
 (1845—1921)

Z «JANA WINGISA»

Na podwórku Wingisów błoto obeschło, ścieżka do świrna i do progu izby usypała żółtym piaskiem; kosze jeszcze w piasku porzucone pod płotem. Dach na chacie mocno porośnięty, gdzie nigdzie widać zeszloroczną trawę; mech sterczy na dachu, jak hochny chleba; cały dach wygląda, jak grzędzawisko. Sam wierzch dachu pośrodku głęboko zaklął się, jak grzbiet koński, w środku wystaje gardło z desek, w postaci komina, pochylonego na jeden bok. Wyglądało tak, jakgdyby izba ruszała głową, dziwiąc się nigdy niewidzianym posypanym piaskiem ścieżkom. Ściany pochyliły się i zapadły pod ciężarem dachu. Róg dachu już oparł się o ziemię, jakgdyby podtrzymywał koniec izby, żeby okna całkiem nie zagrzeżyły. Wejście krzywe, wskutek czego drzwi zawsze stoją otworem. Pośrodku sieni wysoko wbite poprzeczne pale, odymione i świecące, na nich zawieszono dwa haki, nadole zmieciono popiół i zasypano ogień.

<sup>1</sup> Dajna — litewska pieśń ludowa.

Naczynia poustawiane w kącie; podłoga trochę wysuszona. W izbie również więcej porządku: łóżko zasłane, okna niedawno wymyte i jeszcze wilgotne, a gdzie brak szyb, zaciągnięto błony i upiękuszono gałązkami ruty; koło pieca i ogniska zamieciono. W izbie ciepło; w piecu niedawno palono, ale żadnych zapachów nie czuć.

Katarzyna, w koszuli, z gołą głową, bosa, magluje na stole bieliznę; gniewna, wściekła, z rumieńcem na twarzy, trochę czerwona od wiatru, a więcej ze złości, czarne jej oczy błyszczą gniewem, miotają iskry, a pralniki szybko latają w rękach. Ojciec stał w izbie blisko drzwi, matka przy ognisku. Jan leżał na ławie przy piecu; ławka za krótka dla niego, więc nogi zgiął w kolanach i oparł o ścianę; głowa w drugim końcu ławki wystaje, zadarta do góry, w zębach fajka, którą smokcze.

Katarzyna mówiła wyraźnie trochę drżącym, ale doniosłym głosem:

— O żadne wygody nie proszę. Nie jestem przyzwyczajona żyć po świńsku i nie chcę... u moich rodziców psy i świnię lepiej się żywią. Śmietana oto pełna robaków; kto to jeść może!? Mięso jak rzemień... ani kawałka ciasta niema na święta! Czy wam nie wstyd? Nawet dziady na święta lepiej mają, niż wy!

Matce już widocznie zabrakło słów, więc wciąż to samo wykrzykiwała, wymachując rękoma:

— Gaduła! gaduła! leniuch! czarnuszka!

Ojciec syczał złowrogo:

— Ma u c z i, zaraz dostaniesz w zęby! Jak ja każę, tak ma być!

Jan dodał grubjańsko, spluwając:

— Tak, tak, a jakże! Wrzeszczcie. Kto tu was się boi?

Katarzyna wciąż maglowała, tak mocno stukając o stół, że aż szyby w oknach brzęczały, i bez przerwy wołała:

— Czy mnie z chlewu tu przywieźliście? Czy ja wam się napraszałam? Roboty się nie boję, a tem bardziej waszego języka!... Wolno mi pracować albo nic nie robić; swemi pieniędzmi spłaciłam wasze długi, a teraz przez wasze skąpstwo nie mam co jeść! wstyd ludziom powiedzieć. Przez całą zimę, jak niewolnica jaka, sama jedna pracuję, sama bydlą doglądam, a wy tylko zęby na mnie wyszczerzacie i warczycie, jak te psy. Bodaj was licho porwało!

Tak wygadywała Katarzyna głosem podniesionym, a pralnikami tak zawzięcie walała, że aż stół trzeszczał. Dlatego to rodzice zdaleka stali. Ojciec tak się darł, że aż ochrypl, a przekrzykując Katarzyny w żaden sposób nie mógł. Rżnie i rżnie rodzicom słowa prawdy i do większej jeszcze pobudza ich złości. Ojciec, zgrzytając zębami z gniewu, wyleciał na podwórze, trzasnął drzwiami, aż ściany się zatrzęsły, a matka za nim, piszcząc:

— Przyprowadź mężczyzn, idź do wsil! Widzisz, że niema innej rady, trzeba ją s l i e d o w a t i e l o w i oddać, żeby taką panią nauczyć.

— Gadasz jak głupia! Naco mnie mężczyźni? Ja sam poradzę; byłbym i teraz schwycił ztyłu za włosy, żeby nie te pralniki; Panie Boże uchowaj, jeszcze leb rozwalić może! No, na drugi raz ja jej pokażę! Jak ja każę, tak ma być! — Poszedł, groźnie wymachując zaciśniętymi pięściami.

Nogi i ręce Katarzyny trzęsły się, serce gwałtownie biło, twarz pałała. Gdy rodzice wyszli, oparła się o stół, wytarła fartuchem czoło i oczy i westchnęła głęboko, głęboko. Potem odwróciła się, spojrzała na męża i znów lzy popłynęły.

Jan zasnął, fajka wypadła, ślina z ust ciekła.

— To mój wymarzony mąż, wybrany przez ojca; takiej to miłości pragnęło moje serce! — Lżej już teraz maglując, myślała Katarzyna — tak to spełniają się słowa ojczulka: «młody jeszcze, pokocha i będzie ciebie słuchał»... Gdybym to jemu pokazać mogła!... Co więcej warte miłości: piec czy ten człowiek? Matulu, moja matulu! w jakież ręce mnie oddałaś!? Ojczulku mój drogi! w czem ja ci tak zawiniłam, żeś mnie w takie piekło wepchnął? lepiej mię było dzieckiem umorzyć!... Wydaliście mnie za mąż, obdarowaliście, a jakie moje szczęście? Codzieln nożami serce mi krają, codzienn goryczą poją. Serce pęka, w głowie się kręci, nikt nie utuli, nikt nie pożałuje!... Łzy, wielkie jak groch, płynęły po twarzy Katarzyny. — Bolało moje serce, oj, bolało! czuło

ono, tylko nie mówiło, co usłyszę, co wycierpieć będę musiała! Matulu moja kochana serdecznie wmawiałaś we mnie: rodzicom dogadzać, słuchać, być grzeczną i pokorną, męża kochać. Przynurzałam, a jak to spełniam? Boże drogi! nie mogę, w żaden sposób nie mogę, brak cierpliwości. Do czego ja podobna? zlekliby się Użkuliszkisowie, gdyby teraz mnie ujrzeli. Nie moja wina, nie moja! oni sami doprowadzili mnie do tego. Co tu robić, jak tu wytrzymać! Dopiero pół roku przeszło, a zdaje się cała wieczność!...

*Tłum. Kazimierz Puida.*

## LAZDYNU PELÉDA (ZOFJA PRZYBYŁOWSKA)

(1867—1926)

### DEWOTKA

Przed laty żyła na świecie dziewczyna. Doczekała się w stanie panińskim latak Jezusowych i doszła do smutnego przeświadczenia, że nikt nie czyha na jej wianek, wskutek czego postanowiła ofiarować go Panu Bogu. Rozpoczęła więc bardzo bogobojne życie i strzegła się nawet myśli niewłaściwych i złych.

Pokoik jej przypominał bardzo kościół lub kaplicę, cały bowiem jaśniał od wizerunków świętych, cały pachniał święconymi ziołami. Na niewinnem dziewczem swem ciele, wysuszonym postami i modłami, nosiła tyle przeróżnych krzyżów, różańców, szkaplerzy i innych widomych znaków miłości Boga, ile tylko udźwignąć mogła.

I co rok rosła liczba owych znaków widomych świątobliwości życia dziewicy, i co rok bardziej nikła w jej sercu miłość bliźniego.

Świat cały uznała za wstrętny i gorszący, musiała więc zupełnie się od niego odgrodzić murem świętości. Mimo to jednak nie przestawała się zajmować swymi bliźnimi i cierpieć za nich.

Pewnego razu świątobliwa ta niewiasta zapalała ogniem świętego oburzenia na coś gorszącego; zółę się we wnętrzu rozlała i powaliła dewotkę na łożo cierpień. Wieść o jej chorobie błyskawicznie obleciała okolicę i wkrótce do łoża ściągnęła całe tłumy bab, spragnionych widoku «dobrej śmierci». Zgromadzone niewiasty śpiewały święte pieśni przy zapalanej gromnicy, tęsknie wyczekując rozstania się jasnej duszy z ciałem.

O północy, gdy wybiła godzina dwunasta, straszny hałas w kominie przeraził wszystkich; po chwili oczom trupio-bładych bab ukazał się na rozżarzonych węglach — spadły z komina djabeł we własnej skórze. Zamaryły na ustach bab słowa świętych psalmów, i zanim odważniejsze wzięły się do kropienia kusego święconą wodą, ten rzucił się, jak jastrząb na kurczę, na chorą dziewicę, wycisnął z niej duszę i z przeraźliwym rżeniem wyleciał tą samą drogą.

Gorzko się jednak kusy zawiódł: sądził, że tak lekko zaniesie duszę dziewicy do piekła, jak wilk jagnię do lasu. — O, nie, biedaku, poczekaj!

Zaledwie się wymknął przez komin, dewotka wpakowała się na grzbiet djabli i, rozsiadłszy się na nim wygodnie, tak jak zwykła była rozsiadać się na chórze kościelnym obok organisty, rozpoczęła swym ciekim, piskliwym głosikiem śpiewać «Salve Regina». «Żebyś ty zmarniała!» — mruknął z niechęcią czart, słowa bowiem pieśni niebardzo mu lgnęły do serca. Po chwili zaś zauważył: «Brzydki masz głos, przestań już wyć!» — Dewotka jednak, nie zważając na brzydkie uwagi, ciągnęła dalej swą pieśń cieniem jeszcze głosem. Djabeł już nie mógł wytrzymać i wrzasnął wściekle: «Stul, babo, pysk! bo jak cię trzasnę, to się tylko obliżesz!»

Lecz ona z większą jeszcze siłą pisała, a krzyk jej rozlegał się już nietylko na ziemi, lecz mącił spokój i w niebie. Czart zapienił się ze złości i już zamierzył się pięścią na swą ofiarę, gdy nagle poczuł palący ból między rogami i na karku; błyskawicznie sięgnął ręką i poczuł w garści rzecz wielce niemilą. Był to szkaplerz dewotki. A toć wszystkim wiadomo, że nic tak skutecznie nie zwalcza czarnej mocy, jak szkaplerz; boi się go nawet sam lucyfer, a cóż dopiero mówić o zwyczajnym, ordynarnym djable! Więc aczkolwiek wielce łasy bywał na duszyczki niewinnych dziewic, jednak teraz o wszystkim zapomniał: wstrząsnął się cały i, jak rozbrykany żreback, zrzucił z karku



niewygodny ciężar, w trzy węzły się skręcił i z oczyma nawierzeh wylazłemi z prze-  
rażenia czmychnął do piekła.

Dusza zaś dewotki «klapnęła» na ziemię, wskutek jednak braku ciała — zupełnie  
nieszkodliwie. Usiadła sobie, poprawiła szatki niewinności i zaczęła się zastanawiać,  
co ma z sobą zrobić. «Zpowrotem wrócić do ciała jakoś nie wypada. Lecz dokąd?...  
Gdzie się podzieję?... Et, poradzę sobie! Ruszę prosto do nieba — wszak rzetelnie na  
nie zasłużyłam!...» — Klasnęła w dłonie i zaczęła się wznosić wgórę; wkrótce natrafiła  
na szlak mleczny i pomknęła prościuteńko Drogą Mleczną, gdyż, na ziemi jeszcze bę-  
dąc, słyszała, że na końcu tej drogi są wrota do Królestwa niebieskiego. Trzy dni  
i trzy noce trwała ta podróż do nieba, zaledwie na czwarty dzień, już osłabiona i wy-  
czerpana, oparła się o ogrodzenie niebieskie. Sunęła opłotkami, próżno szukając jakiegoś  
otworu, by dostać się do nieba. — — —

Otworzyło się okienko, i wyjrzała z niego siwa głowa stróża niebieskiego. «Kto  
tam? Czego tu chcesz?» — zapytał święty Piotr, trochę skrzywiony. — «Jako czego?  
Przyszłam po zapłatę za bogobojne życie, w niewinności pędząc dni swoje, dręcząc  
ciało postami i modłami, chyba zasłużyłam na koronę niebieską?...» — — — Stary  
klucznik niebieski wcale się nie śpieszył z otwieraniem wrót. «Niema co się na-  
myślać!» — z niecierpliwością krzyknęła dewotka, widząc wahanie świętego, «tak, tak,  
niema co zwlekać — trzeba wrota otworzyć!...» — «Tak, to tak, lecz...» — «Czegoż  
jeszcze brak?» — zapiszczała zupełnie już rozszuszczona, «zdaje się, kochałam Boga?...» —  
«A bliźniego swego?» — odparł święty Piotr — «czy cierpiącym, płaczącym otarłaś kiedy  
łyżę?... Czy pocieszyłaś kiedy biedaka choć słowem nadziei?... Czy oświeciłaś błądzą-  
cych w mrokach?... Słowem, zapytuję ciebie: czy kochałaś bliźniego swego?...»

Dewotka milczała. Po długiej chwili namysłu wreszcie odrzekła: «Oni nie warci  
miłości! żadnego takiego nie było, jak ja!...»

W odpowiedzi na te słowa z trzaskiem zamknęło się okienko, zagrzmiało, ude-  
rzył piorun, i dusza dewotki strącona została z wysokości niebieskich na ziemię i zgi-  
nęła w powietrzu: wiatry ją rozniosły i rozwiały po świecie... — — —

*Tłum. B. Szczęsny Herbaczewski.*

## MAIRONIS (KS. JAN MAČIULIS)

(ur. 1862)

### JURATA I KASTITIS

(Legenda bałtycka)

Wieczór. Słońce już zachodzi...  
Hej! Kastitis, śpiesz do domu,  
Matka czeka, smutna chodzi,  
Że pracować niema komu.  
Uspokoić się nie może  
I spoziera wciąż na morze.  
Hej! Kastitis!  
Zachód gorze. —  
Widać zdobyć nęci ciebie,  
Że ci czas tak prędko leci,  
Myśl twa buja jakby w niebie,  
Gdy na rybki rzucasz sieci.

Fala cicho śpi leniwa...  
Drży na niebie gwiazd poświata...  
Z morskiej łoni któż wyplywa?  
Ach! to boska jest Jurata...  
Biała, jak wód morskich piana,  
Wodorostem opasana.

«Ej! Kastitis!» —  
Tak zawoła —  
«Poco ty mnie rybki nęcisz,  
Wód królestwo moje męcisz?  
Władza moja niepodzielna —  
Jam Jurata nieśmiertelna!»

Kastitisa strach nie ima:  
Ogniem jego oko błyska,  
Siłą, męstwem pierś się wzdyma,  
Cała postać mocą tryska,  
Tylko zachwył w sercu czuje,  
Prosto ku niej łódź kieruje...

— — — — —  
Perkun, który włada światy,  
Pierś swą gniewem złym rozżarzył,  
Boską czysłość że Juraty  
Syn człowieczy tknąć się ważył,  
Skry piorunne rzucił, grzmoty,  
Strzaskał cud bursztynów złoty...

Za te winy  
Ziemi syna  
Falom kazał umiłować —  
I w Połudze, gdzie sośniaki,  
Żółty piasek kryją krzaki,  
Aż do śmierci zacałować...

Posłuchajcie wieczorami,  
Jak się burzą mórz głębiny,  
Gdy z odmętów, jak garściami,  
Wyrzucają nam burszliny,  
Przytem słyhać jęk, rozpacze,  
Ktoś zawodzi i ktoś płacze.

Wiesz, kto jęczy,  
Lzy wylewa?  
To Jurata nieszczęśliwa,  
Swoją miłość przypomina...

Ol palace, co z bursztynów,  
Nie dla ziemi nędznych synów.

— — — — —  
Litwinka, gdy nad morzem błądzi,  
Dar jej niosą mórz głębiny,  
Czyjeś serce znajdzie, sądzi,  
Gdy ustroi się w burszliny.  
A więc je na szyi nosi,  
Śpiew żaloszny, smutny głosi.  
Choć i milczy —  
Kochać umie  
I Juraty ból rozumie,  
Bo jej pierś, jak morskie tonie,  
Jak otchłannych wód głębiny:  
Śpią tam skarby nieprzebrane,  
Tak jak w morzu śpią burszliny

## VAIŽGANTAS (KS. JÓZEF TUMAS)

(ur. 1867)

### MATECZKA

(Z «Przebłysków»)

Mateczka była zupełnie inna niż ojezulek. Los jakby umyślnie połączył te dwie istoty, ażeby dopełniały jedna drugą.

Ojezulek był małowówny, mateczki przeznaczeniem było wygadać się za obydwójce. Widziałeś ją milczącą — kiedy spała. Nie... i wtedy sen jej był niespokojny, bo ustawicznie kaszlała. Za ledwie się obudziła, już cały dom był jej pełen: budziła drugich, wysyłała każdego do roboty, którą ojezulek jeszcze z wieczora spokojnie naznaczył, nawoływała do pośpiechu, gniewała się, że jej nie słuchają, skarżyła się, jak ciężko żyć ze zbyt powolnym mężem; głośno wyliczała, co zaraz i co później ma czynić; jeżeli kto w izbie był obecny, opowiadała o zdarzeniach minionych lat; jeżeli nikogo nie było, sama jedna nuciła pobożne pieśni, najczęściej «Suplikacje», «Koronkę» albo «Padnijmy na twarz». Tak spędzała dzień cały. Gdy, będąc chora, musiała leżeć w łóżku, ustawicznie gadała, zrzedziła albo się sprzeczała z którąkolwiek z domowniczek. Robotą, której ani na chwilę nie wypuszczała z rąk, nie przeskadzała jej w rozmowie. Przeciwnie, im więcej robiła — tem więcej i głośniej gadała, mowa nadążała za robotą, jak trzask za kręcącym się kołem kołowrotka. Rozmawiając bez przerwy, wybiegała z izby, sporządzała dla nierogaczyny jadło, dla cieląt picie, rozmawiając, biła masło, porządkowała mleko, mięso, kielbasy, kindziuchy<sup>1</sup>.

Większa część obfitej mowy mateczki była zwrócona do synka, a jeżeli dorosli porzechodzili się, to nawet i cała jej mowa była skierowana do niego. O ile tylko mógł ośwładać pamięcią, znał całą kronikę krewnych i powinowatych ojezulka i mateczki, znał ich wszystkie nieszczęścia i radości, troski i kłopoty, uczucia i nadzieje.

I zaczął synek już od zarania życia mniemać, że wszystek porządek domowy mateczka jedynie podtrzymuje swoją mową. Jemu się zdawało, że gdyby ona przestała mówić, porządkować i wolać, to w tę samą godzinę wszystkoby runęło, rozpadło się i Bogu jednemu wiadomo, dokąd wszyscy zmuszeni byłiby powędrować. To też błagał Boga, aby mateczkę najtroskliwszą, najpracowitszą zachować raczył najdłuższe lata.

Poświęcenie się mateczki dla swego domu, dla swych dzieci, jej ustawiczne troski, aby wszystkim co najmniej było dobrze, rzeczywiście były bez granic. A najmłodsze jej dziecko było prawdziwym męczennikiem jej miłości. Ze wszystkich ostatnie, dzieciąte z kolei, zdawało się jej, że jest dzieckiem nadzwyczajnym, niby zabawką staro-

<sup>1</sup> Kindziuch — wędzony żołądek wieprzowy, nadziany kawałkami solonego mięsa.

ści. Noszeniu na rękach, pieczętom nie było końca; dzieciak zmuszony był codziennie wielokrotnie wysłuchiwać długiej litanji najpiękniejszych, najczulszych słówek. Czyżby mogła być gdziekolwiek na świecie jeszcze lepsza, jeszcze miłsza mateczka niż jego?

Modliła się mateczka tak samo gorąco, jak żarliwie gospodarowała i zarządzała domem; często nagłos płakała, korząc się przed Opatrnością Boską. Wieczorami dziękowała Bogu za wszystkie laski, w ciągu dnia doznane, padała krzyżem na ziemię, obejmując ją jak żywą, miłośnicie całując i wszystkie słowa prosto kierując ku tej ziemi: «Czarna ziemi, święta ziemi! ja ciebie kornie całuję, ty mnie karmisz, ty dajesz we-sele». Taki to był początek jej każdej wieczornej modlitwy.

We wszystkim widząc jak najwyraźniej zrządzenie Opatrności Boskiej i palec Boży, nawet i siły przyrody mateczka uważała za cząstkę Boskości. Nie pozwalała o ziemi wyrzec złego słowa; zdawało się, iż cierpi, że na ziemi czasami potrzeba coś nieczystego popelnić. Nie pozwalała zalewać ognia inną wodą, jak tylko czystą, ze studni przyniesioną.

Ani w mowie, ani w robocie, ani modlitwie nie dopuszczając niedokładności, ustawicznie śpiesząc, biegając, frasując się, mateczka zdawała się być cała utworzoną jedynie z nerwów. Mały wzrost czynił ją jeszcze bardziej żwawą. Ciemna twarz i bardzo ciemne włosy świadczyły o jej temperamencie.

Czy była ona piękna? Raczej — nie. Co najmniej pięćdziesięcioletnia, twarz miała zbyt pomarszczoną, nos nieco wklęsły, tak iż koniec jego zdawał się nieco grubszy, oczy przyćmione, ciało chude, pierś wyschłą — wszystko to nietyłe ze starości, ile z umęczenia i braku zdrowia.

Mateczka codziennie nosiła dosyć krótką wełnianą spódnice, tkaną w kraty, taką samą bluzę, białą płócienną koszulę, tkaną z włóczki, o długich męskich rękawach i z zapinanym kołnierzem. Fartuch także wełniany. Nogi prawie zawsze bose, bo obutej, powiadała, ciężko biegać i przasć. Na szyi dużo różnych dewocjonaljów, z pomiędzy których zwieszał się wielki krzyż św. Dominika i nie mniejszy mosiężny z relikwjami męczenników świętych.

## VINCAS KRĖVĖ (MICKEVIČIUS)

(ur. 1884)

### KRAINA DAJNOWY

(Z «Podań o Dajnowie»)

W naszej ojczyźnie jest wiele pięknych malowniczych miejscowości, sławnych czynami naszych ojców, lecz między nimi najpiękniejsza i najsłynniejsza — to kraina Dajnowy, znana ze swych wysokich wzgórz i szerokich dolin, cienistych lasów i gęstw. Tamtędy ani człowiek nie przejdzie, ani zwierz nie przelezie, tylko małe ptaszki-świergotki przelecają, tylko kukułki jarzębate i słowiki, co wczesnym porankiem i późnym wieczorem śpiewają, ożywiając swoim świergotem posępność lasu.

Lecz głośniej od małych ptaszek i słowików śpiewają młode siostrzyce, wesole dziewczęta krainy Dajnowy. I wczesnym porankiem, i późnym wieczorem dźwięczą ich dajny; dźwięczą i w ciemnych lasach, i na łąkach zielonych, gdzie siano grabią, i na polach szerokich, gdzie młode żną żytko, i w wiśniowym sadzie, gdzie tęsknią za młodym chłopcem.

O! bo dźwięczna dajna o wszystkim głosi, o wszystkim wspomina: i o jasnej wiosnie, i o mglistej jesieni, i o cierpieniach młodego chłopca, wyruszającego na wojnę, i o tęsknotach młodej dziewczyny, co pokochała niewiernego chłopca.

Dźwięczna dajna dziewczyny-lilijki wszystko pamięta, wszystko wyśpiewa, o wszystkim opowie: o wielkiej przeszłości, o sławnych czynach starych ojców i o powszednich biedach, które nekwały ziemię litewską. Wszystkie te dajny są piękne i dźwięczne, i tkliwe, i nie nastuchasz się ich dowbli, choćbyś słuchał dzień i noc całą.

## PUTINAS (KS. VINCAS MYKOLAITIS)

(ur. 1892)

## ZE ZŁOCONEJ RAMY...

Ze złoconej ramy smutnie  
Hrabia się uśmiecha,  
I rozbitych szkielek witraże  
Mgłami zmierzch zawleka.

Pałacowa sala pustą  
Smutna, jak świątynie,  
Kryjąc się w objęciu nocy,  
Tajemniczo ginie.

Rozpościera czarne skrzydło  
Tu głucha martwica...  
Z złotej ramy się uśmiecha  
Hrabia tajemniczo...

Noc już... cisza... ani dźwięku...  
Tajemniczy mrok ponury,  
Tylko w oknach witrażowych  
W szklach rozbitych świecą dziury.

Tylko słychać w tej ciemności  
Głodnej myszki gdzieś skrobanie.  
I ostrożne, i lękliwe  
Świerszcza nudne skądś cykanie.

Nie... nie wszystko śpi w pałacu  
W tajemniczej mroku toni —  
Patrzają czyjeś smutne oczy,  
Czyjs krok głucho, krótko dzwoni...

Jakieś echo szepece zeicha:  
To ktoś płacze, ktoś się śmieje...  
Lecz tajemnic tych północy  
Któż zrozumie treść i dzieje?

Ze złoconej ramy smutnie  
Wciąż uśmiecha się twarz błada,  
I zdaleka jakieś echo,  
Przez rozbity witraż wpada.

I tchnie grozą w mrokach sali,  
Brzmień dwanaście się roznosi,  
I z ostatniem uderzeniem  
Kurz z obrazów się podnosi...

I wnet ożył stary hrabia,  
Ze złoconej ramy schodzi,  
I bezgłosy w księżycowych  
Blasków kroczy on powodzi.

Hrabia idzie na podwórzec  
Po zepsutych schodach sieni,  
Przy kolumnie marmurowej  
W cichy posąg się zamieni.

Zastygł gmach w miesięcznym blasku —  
Jakby duża trumna biała,  
Co bogactwa całych wieków  
Kurzem, pleśnią pogrzebała.

Obszarpane z tynków ściany  
I kopuły się zwały,  
I w żalobie chyląc głowę,  
W głębie ziemi się zaryły.

Ni trawników, ni kwietników —  
Wokół wszędzie błoto szare,  
Pod resztkami oranżerii  
Szczałki palm uschnięte, stare...

W stawie, tam, gdzie kiedyś pływał  
Biały labędź uroczyście,  
Z mułu sterczą gardła chimer,  
Co zatkały zgnite liście.

Szpaler drzew omszonych tuli  
W swych objęciach most bagniska,  
Rząd powojów tam się gwałtem  
Do zarosłych alej weiska.

A tam dalej w pustym polu  
Mdlą poświatą wybielone  
Sterczą chatki nędzne, nagie,  
Jakby biedą zawstyżone.

Sterczą gołe te chatynki  
I jasnego dnia czekają...  
Na uparty księżyc wgórze  
Wiecznie głodne psy szczekają.

Westchnął ciężko stary hrabia...  
Liście lipy zaszumiwały...  
Z opuszczoną siwą głową  
Wszedł w aleje chwiejny cały...

Jak bezdomny błędny tułacz,  
Przez złe losy osądzony,  
Długo włóczył się po parku  
On, ku ziemi pochyłony.

Pierwsze złote ranku świty  
Już na chatkach się odbiły,  
Jeszcze w starym dworskim parku  
Widma nocy się włóczyły.

Cień to?... Mara?... i nie dojrzysz,  
Kto przy rzece kłękł skulony?...  
Czyto lilja obejmuje  
Tam łoziny krzak zielony?...

W wielkiej sali pałacowej  
 Myszka skrobać znów próbuje,  
 Świerszczyk tylko w kącie cyka,  
 Pająk tylko sieci snuje...

Ze złoconej ramy smutnie  
 Stary hrabia się uśmiecha...  
 Na rozbite szkła witraży  
 Pająk pilnie sieć zawleka...

## KAZYS BINKIS

(ur. 1893)

## WIETRZNIK

Hej! zaprzęgnę wiatr ja chyży,  
 Wichr obejmę wiecznie młody —  
 Przez nadchmurne niebne szlaki  
 Z wiosną puszcę się w zawody.

Hej! łabędziel... z drogi... z drogi!  
 Hej! żórawiel drogę nam!...  
 Ponadchmurne niebne szlaki  
 Wszystkie znam!...

Hejże, wiosno! Ty pozostań,  
 Łap swe żaby i ślimaki...  
 Hej! wy ptaki, bądźcie zdrowe!  
 Pozostawiam ziemię wam —  
 Ponadchmurne niebne szlaki  
 Jeden ja tu tylko znam!...

Miga wstęgą płaszcz mój z mgły,  
 Wichr szaleje wściekły, zły,  
 Gasną w strachu gwiazd mirjady,  
 Twarz swą chowa księżyc błady.  
 Kto ode mnie zwabi wicher?  
 Wiatr okiełzać komu dam?  
 Wielką drogą ponadchmurną  
 Jeżdżę ja, i tylko sam!

*Wybór tekstów i układ Wincentego Zajączkowskiego.*